

»PRAWO HONORU«

Drugi występ Moskiewskiego Teatru Dramatycznego

Sztuka A. Szejna „Prawo honoru” nie darmo nagrodzona została obok sztuki „Moskiewski charakter” Sofronowa — jak o tym donoszą właśnie depesze z Moskwy — za szczególną premią Stalinowską, nadawaną w Zw. Radzieckim tym działom literatury i sztuki, tym reżyserom i aktorom, którzy osiągnęli wielkie sukcesy artystyczne, które na przestrzeni ostatniego roku osiągnęli najwyższy poziom zarówno artystyczny, jak ideowy.

„Prawo honoru” jest właśnie takim utworem o najwyższym poziomie artystycznym i ideowym. Artystyczny poziom sztuki to jej wywierająca duże wrażenie na widzach prawda psychologiczna i jej żywe, przekonujące, pełne pasji wewnętrzne postaci. Ideowa jej wartość to nie tylko podnoszenie przez autora sztuki najbardziej żywotnych problemów radzieckiej rzeczywistości, ale i zupełnie udana próba rozwiązania tych problemów.

Rzecz idzie — o wynalazek, którym jest preparat uśmierzający ból.

Wynalazek preparatu uwalniającego ludzkość od fizycznego bólu, jest uczony radziecki, profesor Dobrotworski, człowiek kryształowej czystości, który dopuścił jednakże do współpracy nad swymi badaniami egoistę i karierowicza, profesora Łosiewa. W momencie, kiedy odbywa się skromna, koleżeńskie uroczystość na cześć profesora Dobrotworskiego, jego współpracownik Łosiew, walcąc w Ameryce, dokąd pojechał w celu wygłoszenia tam cyklu odczytów.

Po złożeniu wynalazcy gratulacji przez kolegów, uczonych i po rozłączeniu się gości profesor Dobrotworski ogląda w obecności swego długoletniego, wiernego przyjaciela, członka akademii nauk Wierejskiego, pisma amerykańskie, którym Łosiew podnosi swego pobytu w Ameryce, udział w wywiadzie na temat wynalazku dokonanego przez profesora Dobrotworskiego wespół z Łosiewem.

Po powrocie z Ameryki profesor Łosiew składa kolegom sprawozdanie ze swojej podróży. Jest zachwycony gościnnością amerykańską, podkreśla, że nawet organy prasowe koncernu Hearsta, normalnie zlekceważające, do Zw. Radzieckiego nie żalowały miejsca pochwały dla wynalazku dla mnie — powiada — i dla profesora Dobrotworskiego. To „dla mnie” na pierwszym miejscu, kiedy wynalazku dokonał nie Łosiew, lecz Dobrotworski jedynie przy współpracy Łosiewa, już wzbudza w widzu nieufność wobec osoby tego entuzjasty kosmopolityzmu w nauce.

Naturalnie, nieufność ta wzmacnia się jeszcze bardziej, kiedy akademik Wierejski, przerywając mu odczyt, zapyta go wręcz, ile jest prawdy w tym, że Łosiew, przebywając w Ameryce, sprzedał rekopis

pracy o wynalazku firmie amerykańskiej, handlującej lekarskimi artykułami.

Już ani doskonale udawane oburzenie Łosiewa ani zapewnienia latowiernego profesora Dobrotworskiego, że rekopis jego pracy w ogóle nie był wywożony przez granice kraju i że po dzień dzisiejszy znajduje się w jego sejfie — nie przywróci zaufania widza do osoby Łosiewa.

Tak zadzierzga się konflikt w tej sztuce. Po jednej stronie uczeni, pełni troski o honor radzieckiej nauki i radzieckiego uczoności, po drugiej przypadkowy współpracownik znad komitetu uczoności, wynalazcy, pragnący wykorzystać przychylność dla siebie sytuacji dla osobistej sławy i dla zdobycia majątku.

Ponieważ w Ameryce zrobili mu reklamę i dali pieniądze — gotów jest zdradzić agentom firm amerykańskich nawet receptę wynalazku, z którego oni potem uczynią nowe narzędzie wyzysku, a nie narzędzie służące ludzkości i prawdopodobnie w tym celu zaprasza do zwiedzenia instytutu badawczego, w którym pracuje, zagranicznych wycieczek. Tylko dzięki przytomności umysłu młodej współpracownicy profesora Dobrotworskiego, córki akademika Wierejskiego, która w stosownym momencie upuszcza na ziemię i tłucze termometr rejestrujący wysokość temperatury, używanych przy produkcji preparatu, uniemożliwia obecnym wśród członków wycieczki agentom firm zagranicznych zdobycie tajemnicy epokowego wynalazku.

Łosiew, przy tym jest na tyle sprytny i na tyle przebiegły, że swoje kontakty z firmami zagranicznymi ostaną gościnnymi frazesami, rzecz jasna — niewiele mającymi wspólnego z samą istotą rzeczy.

— Jeśli w nauce zostaje powiedziane nowe słowo, nie jest ważne, w jakim języku będzie to słowo wypowiedziane — odpowiada Łosiew z patosem na uwagę swoich kolegów, że należało rezultaty badań najpierw opublikować w kraju, a dopiero potem ogłaszać je zagranicą.

Nawet wymowny fakt, że amerykański uczyony światowej sławy, z kilkoma udającymi tylko uczonych agentami firm amerykańskich, zwiradzający instytut badawczy profesora Dobrotworskiego — mimo że sam zadaje bynajmniej nie ogólnikowe pytania dotyczące sposobu otrzymywania epokowego preparatu, odmawia nawet najbardziej ogólnikowej informacji na temat wynalazku własnego, zasłaniając się tym, że wynalazek z ciwili, kiedy oddał go do realizacji jednej z firm, przestał być jego własnością, a stał się własnością tej firmy, nawet ten fakt nie zmniejsza zapału Łosiewa, dla dalszego podtrzymywania tego rodzaju „wymagany” doświadczeń na

ukowych i nie naruszy ani jego spokoju, ani jego pewności siebie.

Alle problem Łosiewa to nie jest jednak problem sztuki A. Szejna. Jeszcze ważniejszy od niego jest problem profesora Dobrotworskiego, który w przeciwieństwie do Łosiewa jest i człowiekiem honoru i dobrym obywatelom swojego kraju i uczynnym rzeczywistocie pragnącym służyć swemu ludowi. Profesor Dobrotworski jednak nie tylko nie dostrzega złych dróg, którymi chadza jego współpracownik Łosiew, ale i sam dopuszcza się błędów, broniąc Łosiewa przed kolegami i nie godząc się na uznanie za słuszne poglądów, potępiających jego kosmopolityzm psychiczny i chciwość.

Odmienność zdań nie tylko różni profesora Dobrotworskiego z wiceprezesa jego przyjaciela Wierejskiego, usiłującego przekonać go, że powinien odgrodzić się od Łosiewa i wyznawanych przez niego poglądów i z kochającą go i oddaną mu żoną, która kochając go prawdziwie, nie chce kłamać, że słuszność ma on, kiedy wierzy, że mają ją jego koledzy, ale i stawia Dobrotworskiego na równi z Łosiewem w charakterze oskarżonego przed sądem honoru, składającym się z najwybitniejszych przedstawieli nauki radzieckiej.

Jeszcze późnym wieczorem w dniu poprzedzającym termin sądu profesor Dobrotworski w pełnych dramatycznych słowach krzycza przed sobą, że nigdy „nie ugnie kolant”, ale kiedy na sądzie sekretarka instytutu zezna, że na polecenie Łosiewa parę dni przed jego wyjazdem do Ameryki sama własnoręcznie dokonała odpisu pracy profesora Dobrotworskiego na temat jego badań nad wynalazkiem i że Łosiew kategorięcznie zabronił jej informować kogokolwiek o swym poleceniu — spórzenia Dobrotworskiego na Łosiewa zmieniło się, jakby naraz łuski opadły mu z oczu. W świetle tego

faktu szlachetnemu, ale łatwowiernemu profesorowi stało się jasne, że koledzy jego bynajmniej nie występowali przeciwko niemu osobliście, lecz jedynie przeciwko jego błędom. Poruszony i przekonany do głębi profesor Dobrotworski powie wtedy dwóm kolegom, wchodzącym w skład sądu, że godziny spędzone przez niego w sądzie były najcięższymi godzinami w jego życiu i że dopiero teraz zrozumiał, że sąd honoru jest czymś, od czego człowiek albo się rodzi na nowo, albo już zostaje na zawsze poza nawiasem społeczeństwa.

— Ja pragnę pracować na posterunku, jaki zostanie mi wyznaczony — powie na zakończenie profesor Dobrotworski, by za chwilę rzucić się na zryw akademików Wierejskiego, oskarżycieli publicznego podcała sądu honoru, ale mimo to najprawdziwszemu jego przyjacielowi i by następnego dnia z jeszcze większym zapałem przystąpić do dalszych badawczych prac w swym instytucie.

Rolę profesora Dobrotworskiego wspaniale zagrał A. A. Chanow, artysta o rzadko spotykanym dramatycznej ekspresji. W roli akademika Wierejskiego nowe triumfy święcił L. N. Swierdlin, który w „Wielkich dniach” grał rolę Stalina. Piękną postać kochającej żony, pragnącej prawdziwego szczęścia dla drugiego sobie człowieka, stworzyła F. G. Rajewska. Doskonałym przewodniczącym państwowej komisji był M. M. Sztrauch. Wysoką klasę gry aktorskiej wykazała w roli Oli Wierejskiej W. W. Gerdlich. Z powodzeniem rywalizował z nią, jeśli chodzi o aktoryzmy, E. W. Samojłow, w roli jej narzeczonego, docenta Gonczarowa. G. P. Kiryłowowi w zdobywaniu dla swojej gry najwyższego uznania widzów wcale nie przeszkodziło, że grał tak niesympatyczną postać jak Łosiew.

Jan Szczawiej.